



JUBILEUSZ  
PAŃSTWOWEGO  
INSTYTUTU  
WYDAWNICZEGO  
1946-2021

75

# Lew i komedjanci!

Bronisław Wildstein

# Lew

Ludzie są śmiertelni, więc umierają – nie, nie powiedziałem tego, chociaż milczenie wymagało wysiłku. Napuszona powaga, z którą Lefranc anonsował, skądinąd rzeczywiście niespodziewaną śmierć Druona, szła dalej niż jego zawsze nieco pompatyczne manery, zmierzając ku autoparodii. To ona uruchomiła szyderczą katarynkę w mojej głowie. Kolejne zdanie zaskoczyło mnie jednak zupełnie.

– Popenił samobójstwo – uzupełnił dyrektor, przyglądając się mi.

Teraz całość jego zachowania stała się oczywista. Grzeczne, acz stanowcze zaproszenie telefoniczne: – Już. Naturalnie mogę poczekać parę minut, jeśli ma pan coś niecierpiącego zwłoki...

Takiego zdecydowania nie słyszałem u niego nigdy wcześniej. Wprawdzie Lefranc zawsze dbał o akcentowanie swojej dyrektorskiej funkcji, ale nigdy nie domagał się realnego posłuszeństwa. Wystarczyły mu pozory. Często miałem wrażenie, że im bardziej zależy ode mnie, tym bardziej demonstrować pragnie swoje zwierzchnictwo. Wchodziłem w tę grę do tego stopnia, tak bardzo podkreślałem jego dyrektorskie kompetencje, że chwila mi zaczynałem się obawiać, że przesadzam, a pryncypał uznać powinien moją ironię za gruby nietakt. Dotychczas jednak nic

takiego nie zaszło, a Lefranc łykał moją uniżoność z miną kota drapanego po podgardlu.

Teraz zrozumiałe stało się także zachowanie pracowników biura, które uderzyło mnie, kiedy tylko wszedłem do gmachu: ich spłoszone spojrzenia, gdy witali się ze mną, niepewny krok... Przemknęło mi nawet przez myśl, że wcześniejsze pogłoski o reorganizacji mogą okazać się prawdziwe, zwłaszcza gdy zobaczyłem wyraz twarzy sekretarki, nie zdążyłem jej nawet powiedzieć, że jestem bogiem – Sefie, dyrektor prosił o telefon, łączyć?

– I... wiadomo coś? – zyskiwałem na czasie, uświadamiając sobie, że w samobójstwo Druona trudno było uwierzyć.

– Wie pan... wszyscy jesteśmy w szoku. Taki król życia... samobójstwo... każdy, tylko nie on. No, nie każdy. Gdyby powiedzieli mi, że to pan popełnił samobójstwo... ba, gdyby pokazali fotografie i dowody, i tak bym nie uwierzył, nawet gdybym zobaczył pana zwłoki... Mam nadzieję, że nie czuje się pan dotknięty?

– Wręcz przeciwnie, ale co z Druonem?

– Zastrzelił się ze służbowej, powiedzmy, nie do końca służbowej, nie jesteśmy przecież zmilitaryzowani, choć zalecają nam posiadanie broni i ćwiczenia... po co zresztą to mówię, wie pan jak i ja... Zastrzelił się w swoim gabinecie, w nocy, ostatniej nocy. Strażnik usłyszał. Dobijał się do drzwi. Nie mógł otworzyć. Wreszcie z dowódcą je wyważyli. No, tak... Pan się przyjaźnił z Druonem.

Nie spodobało się mi takie ujęcie naszych relacji.

– Znaliśmy się.

– No właśnie. Bardzo blisko.

– Nie aż tak.

– Nie to miałem na myśli – zachnął się Lefranc. – Ale biorąc pod uwagę... w każdym razie chciałem pana przekonać, żeby porozmawiał pan, no, na razie nieoficjalnie, z oficerem... to nie jest

zwyczajna policja i nie będzie formalne przesłuchanie, sam pan rozumie... Jeśli możliwe: u nas i teraz. To znaczy w gabinecie obok, pułkownik czeka na pana. Oczywiście, byłaby to grzeczność, mam nadzieję, że się pan zgodzi – dyrektor mówił głosem wykluczającym odmowę. Ten ton słyszałem u niego pierwszy raz.

Pułkownik Jugnot był uprzejmy, ale nieuważny. Zachowywał się jak należy, ale wyglądał, jakby myślał o czymś innym i przy wszystkich pozorach rozmówca nie obchodził go zupełnie. Lata szkolenia. Przesłuchiwanego trzeba rozbroić, oswoić, a aura obojętności i nieuwagi dobrze temu służy. Pułkownik wyglądał jednak na tak autentycznie niezainteresowanego pytaniami, które musiał kierować do mnie, że jednocześnie mógłby rozważać jakiś metafizyczny problem w rodzaju imion, jakie człowiek jest zdolny nadać Bogu. Ale to pytanie trafiło w punkt:

– Znał pan Jérôme’a Agravaina? – To tamta, niezwykła twarz, od której nie mogłem oderwać oczu Druon, kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem w restauracji przy avenue Franco-Russe. Niemal czuły uśmiech młodzieńca, którym odpowiadał na wzrok adoratora, mógł coś przesłaniać. Była to drapieżność czy w kontekście ostatnich wiadomości imaginuję ją sobie?

Kończyło się lato, kiedy Druon zaprosił mnie na obiad. – Mówię „my”, bo mam na myśli jeszcze, naturalnie, Jérôme’a. Chcieliśmy podziękować panu za... – zawahał się – pośrednictwo, przepraszam, brzmi to niewłaściwie. Za przedstawienie nas sobie i w konsekwencji... to, co stało się później. – Chłodna twarz Druona na moment zmieniła się prawie nie do poznania. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z niespotykaną wcześniej niepewnością. Wyglądał, jakby chciał kontynuować, ale nie potrafił znaleźć słów. – Znam dobrą, a niespecjalnie uczęszczaną restaurację przy avenue Franco-Russe. Skromne wnętrze, ale ta autentyczna kuchnia z Perigord... nie będzie pan żałował.

Druon był jednym z bardziej interesujących dyrektorów naszego departamentu. Integracja europejska była dla niego wyzwaniem i zagadnieniem. Wąska, niewiele mówiąca twarz przybierała uważny wyraz, oczy intensywnie wpatrywały się w rozmówcę. Często pytał mnie o coś niespecjalnie istotnego, ale słuchał moich odpowiedzi, jakby były dla niego zasadnicze. Ambicje Druona wykraczały poza zwykłą grę o prestiż i miejsce w strukturze instytucji. – Naprawdę wierzy pan, że jesteśmy w stanie wpłynąć na bieg historii? – zapytał mnie kiedyś niespodziewanie. Zorientowałem się, że pod wystudiowanym chłodem piętrzy się napięcie. Byłem z nim w stanie rozmawiać do pewnego stopnia szczerze. Ten konwencjonalny przysłówek stwarzał mi zawsze, a zwłaszcza ostatnio, dużo problemów, ale nie mogłem się bez niego obejść. Nie możemy zrezygnować z pojęć, których naprawdę nie rozumiemy. Szczerłość, czyli odzwierciedlenie prawdy. Ale o jakiej prawdzie mówić można w międzyludzkich relacjach? O sprzecznych odruchach, które w ciągu krótkiego czasu, zależnie od okoliczności, każą te same osoby postrzegać jako dobre albo złe, wrogów albo przyjaciół? O zmiennej percepcji, która potrafi eksponować jako naczelne cechy charakteru ułomności, w innym momencie zredukowane przez nią do nieznaczących, rozczulających wręcz śmiesznoetek? Szczerłość zakłada bezinteresowność, niedostępną, jeśli w ogóle pojmowalną dla nas perspektywę. Wprawdzie instynkty człowieka przeistoczyły się w splot kulturowych motywów, ale czy doprowadziły do zmiany fundamentalnego nakierowania na siebie, które wyznacza ludzkie działania i powoduje, że inni liczą się o tyle, o ile grają jakieś role w aktualnej odsłonie naszego spektaklu? Rewersem najbardziej, wydawałoby się, wielkodusznych postaw, wybuchających w miłości czy przyjaźni, jest obojętność wobec tych, których nie obejmuje nasze uczucie. A same jej obiekty, które wzbudzać mają zdolność do poświęcenia... dla

kogo i czego jesteśmy na to gotowi? Wątpliwości można mnożyć. A przecież nie sposób zrezygnować z tych naszych bezrefleksyjnych nazw, słów, pojęć, których nie obejmujemy intelektem, gdyż to one go tworzą, i dlatego ostatecznie, jak każdy, wracałem do tych stereotypowych określeń, może tylko bardziej świadomy ich ułomności. Czy umowna szczerłość w przypadku Druona – niekiedy mówiłem mu to, czego nie powiedziałbym innym, chociaż nie wiązało się to ze szczególnym ryzykiem – oznaczała, że traktowałem go jako potencjalnego partnera, a w każdym razie kogoś najbardziej predestynowanego do tej pozycji, w ten sposób stawał się elementem moich planów, a więc częścią wyobrazonego mnie, i zaczynałem żywić do niego cieplejsze uczucia? W pewnych sprawach był moim współpracownikiem, a jego rola w instytucie – był naprawdę młody, chyba trochę po trzydziestce – powinna była rosnąć. W sumie przypuszczałem, że to na nim będę mógł się oprzeć, skoro najłatwiej się z nim porozumiewałem, a cała związana z tym introspekcja, jak każda tego typu operacja, była niewiele warta.

Normalnie zbyłbym żartem pytanie o nasz wpływ na historię, w tym wypadku jednak spróbowałem inaczej podejść do problemu, na który nie ma odpowiedzi. – Wpłynąć? – odpowiedziałem pytaniem. – Czy w ogóle to potrafimy? Ale wpłynąć na tempo zmian, co w naszej perspektywie znaczy wszystko... albo odnaleźć swoje miejsce w nurcie...

Druon był tym, którego najczęściej, to znaczy raz na kilka tygodni, spotykałem również poza Quai d'Orsay. Zwykle jednak wymienialiśmy uwagi w kawiarence wewnątrz gmachu, i to tam zaprosił mnie na avenue Franco-Russe. Zastanawiałem się, jak odpowiedzieć, ale jego uśmiech nieomal mnie rozbroił. – Bylibyśmy szczęśliwi...

Ażurowe przepierzenia z doniczkami, cynowymi saganami oraz drewnianymi, malowanymi naczyniami, w których tłoczyły się